

Jan Hartman

Co po socjologii?

Zarządzanie Publiczne nr 19 (1), 43-51

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jan Hartman

Co po socjologii?

Artykuł poświęcony jest diagnozie teoretycznej i społecznej sytuacji nauk społecznych oraz ich perspektywom. Nauki społeczne dawno już zrytualizowały odtwarzający się nieustannie „dyskurs kryzysowy”. Czerpanie przez nie korzyści z ciągłego diagnozowania własnego kryzysu jest etycznie dwuznaczne. To samo dotyczy nieustannego powracania do dialektyki niezaangażowania i zaangażowania, czyli opisu i oceny. Nieuchronność zaangażowania aksjologicznego socjologii często staje się alibi dla zadowalania się tylko jego pozorami. Socjologia nie jest niewinna. Wpływa ona silnie na świadomość społeczną, dostarczając klasie średniej i elitom narzędzi samowiedzy i w rezultacie tworząc „społeczeństwo małych socjologów”. Socjologia zmieniła społeczeństwo, narzuciła mu swój idiom, lecz nie bierze odpowiedzialności za konsekwencje tego faktu. Jest sceptyczna i swym sceptycyzmem zaraża społeczeństwo. Jeśli dyskurs socjologii miał pełnić funkcję terapeutyczną, to poniósł porażkę. W artykule twierdzi się, że socjologia musi przejść w fazę „postyczną”, czyli przeobrazić się w coś, co nie będzie już socjologią. W związku z tym autor poddaje krytycznej analizie kilka założeń, jakie przyjmują (zwykle) nauki społeczne. Bo przyszłość nauk społecznych i przyszłość społeczeństwa są ze sobą najściślej splecione.

Słowa kluczowe: socjologia, kryzys nauk społecznych, świadomość społeczna.

Rzecz to niemodna i być może irytująca: powracać do tych tonów kryzysowych, którymi rozbrzmiewały wydziały socjologii w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX w. Ba, nawet powiadanie, że „mówienie o końcu socjologii (*resp.* filozofii, sztuki etc.) jest już zdecydowanie niemodne i zgrane”. Uchodźć może za taki sam anachronizm, jak same te kryzysowe historie. Czy jednak zmieniło się coś istotnie na lepsze od czasu, gdy Alvin Gouldner napisał *The Coming Crisis of Western Sociology*, Robert W. Friedrichs *A Sociology of Sociology*, a Jean Boudrillard raczył nas *Rozmowami przed końcem?* Czy nie mamy nadal poczucia, że socjologia żyje w świecie stworzonym przez samą siebie, oczarowana tyleż przez własny teoretyczny żargon, ile przez swój akademicki „rząd dusz”? Czy nie mamy tego samego co dawniej odczucia, że tłumaczenie prawdy socjologicznej na język potoczny odkrywa jej miałość i banalność? „Wielkie narracje” nam obmierzły, ale małe „metanarracje” również. Postmodernistycznych nie wyłączając. Dyskusji o kryzysie nie można zamknąć tylko dlatego, że toczyła się dawno temu

i długo, a socjologia jak istniała, tak istnieje nadal. Dlatego chciałbym do dyskusji tej powrócić i zabrać w niej głos. Może znowu trochę hiperbolicznie, ale taka jest w końcu retoryczna tradycja tego rodzaju wypowiedzi.

Socjologia poczęła się z ducha oświecenia. Nie zawsze wprawdzie była jawnie zaangażowana politycznie, nie zawsze ulegała pokusie wynajdowania i stosowania socjotechnik, nie zawsze oddawała się marzeniom o „fizyce społecznej” czy „społecznej inżynierii”. Co więcej, od stu lat do zasobu socjologicznych klisz należy odżegnywanie się od aspiracji w zakresie sterowania procesami społecznymi i udoskonalania świata za pomocą manipulacji opartych na wiedzy z dziedziny nauk społecznych. Aspiracje takie uważane są za naiwne, trywialne, a w końcu – nieetyczne. To prawda, taki jest stan ducha przeważającej większości socjologów. Ale właśnie dlatego tak łatwo znika z pola widzenia to zaangażowanie praktyczne, które mimo wszystko w naukach społecznych pozostaje akceptowalne, a nawet pożądane. Gdy socjolog angażuje się w oświecenie publiczne, w budowę wolnego społeczeństwa światłych i tolerancyjnych ludzi, to przecież co najmniej uświadamia współ-

obywatelom trudne i bolesne zjawiska społeczne, z nadzieją, że wesprze społeczeństwo, którego sam jest członkiem, w zwalczaniu przemocy, dyskryminacji, wykluczenia i rozmaitych tzw. patologii społecznych. Nie czuje wtedy żadnych wyrzutów sumienia ani nie odnosi wrażenia, że sprzeniewierza się misji uczonego. Są však imponderabilia nowoczesnego człowieka, które bezdyskusyjnie przynależą również do wartości przyświecających uprawianiu socjologii. Któż by negował lub choćby ignorował takie wartości społeczne i polityczne, jak równość, sprawiedliwość czy wolność?

Jakis ślad ideologii jest w naukach społecznych nie do uniknięcia, bo na jakimś poziomie musi być przez każdego zaakceptowany – chyba że miałby to być ktoś całkiem cyniczny. Niestety, obecność wartości w socjologii obarczona jest dwuznacznością, wchodząc w konflikt z elementami etosu beznamietnego uczonego-observatora. Nazywa się tę obecność „konstruktywizmem”, „zaangażowaniem”, „upolitycznieniem”, „subiektywizmem” i na wiele jeszcze sposobów – zawsze z jakąś nutą przygany. Przygana to, jak widać, jałowa, bo żadnej ucieczki od „zaangażowania” nie ma. Jeśli chciałoby się bowiem, jak to bywało w dobie pozytywizmu i nawet dziś jeszcze się zdarza, mocą sentymentu pozytywistycznego, za wszelką cenę unikać w naukach społecznych wartościowań, czyli ocen, celem zapewnienia sobie tym większej obiektywności czy bezstronności, musi się popaść w śmieszny dogmatyzm i egzaltowaną sztuczność. Unikanie ocen i wszelkich aksjologicznych zaangażowań oznacza bowiem dramatyczne zawężenie rozumienia zjawisk społecznych w stosunku do zupełnie potocznej, nienaukowej ich znajomości. Nie można zakrywać oczu, by mówić obiektywnie o kolorach, i nie można uczestniczyć w inteligentnym z natury życiu społecznym – mianowicie w charakterze badacza – tracąc lub choćby zawieszając elementarne kompetencje społeczne związane z umiejętnością odróżniania dobra od zła. Tego rodzaju ekscentryczne próby nie tylko same w sobie tchną nieodpowiedzialnością i pyszałkowatością kogoś, kto będąc „ponad to”, chciałby pozostać „wyłącznie obserwatorem”, lecz w dodatku świadczą o metodologicznej niedojrzałości. **Habitus socjologa nie może wszak być uboż-**

szy od naturalnych habitusów społecznych, których badaniu chciałby się oddawać. Etos naukowy i etyczny socjologa nie może zaś opierać się na iluzorycznej kreacji idealnego obserwatora bądź na innej idealizacji, napędzanej fałszywą świadomością „emancypacji przez kompetencje naukowe”. Socjologia nie może być odbiciem świadomości klasowej socjologów, ujawniającym ich wyobcowanie i frustrację. Taka socjologia może co najwyżej irytować bądź gorszyć. Owszem, prawdą jest, że zdania normatywne czy oceniające nie są stwierdzeniami w znaczeniu logiki, nie poddają się bowiem operacjom z zakresu klasycznej logiki zdań. Tylko co z tego? Istotne zdania o społeczeństwie, nawet czysto opisowe, zawierają terminy, których w ogóle nie da się pojąć, nie uchwyciwszy ich ładunku aksjologicznego; nie mówiąc już o tym, by mogły mieć jakąkolwiek wartość poznawczą dla kogoś, czy choćby zainteresować kogoś, kto wcale żadnych czynników wartościowych w nich nie dostrzega. Gdy mówimy z zainteresowaniem o jakichś procesach społecznych, to zawsze do pewnego stopnia mamy na uwadze kwestie w sposób fundamentalny moralnie doniosłe: „Jacy jesteśmy?” i „Co z nami będzie?”. Tym bardziej, gdy rozważamy konflikty i zmiany społeczne. Albo kiedy mówimy o kształtowaniu się instytucji i sposobie ich funkcjonowania. Czemu wypierać się tego, że ważne, wręcz najważniejsze w tym wszystkim pozostaje to, czy jest lepiej, czy gorzej, czy będzie lepiej, czy będzie gorzej?

Naiwny obiektywizm, dziecinne pragnienie podglądania świata przez dziurkę od klucza, próżność kogoś, kto pragnie być chłodnym, racjonalnym ekspertem, informującym, jak się rzeczy mają – to wszystko są skazy umysłowości oświeceniowej. Umysłowość ta ma również swoje piękne strony, jak wiara w człowieka, w postęp (dziś wyklęty, lecz powracający w przebraniu „rozwoju”) i możliwość uprawiania racjonalnej, nie tak ze szczeniem egoistycznej polityki. Wszelako nieobce są jej narowy arogancji, naiwności i próżności, tak charakterystyczne dla wieku młodzieńczego, w którym to przecież nauki społeczne były jeszcze nie tak dawno. Dziś czas by był po temu, aby z młodzieńczości wyrósł ostatecznie i wejść w wiek dojrzały. Wielu by tego chciało, lecz zadowalają się łatwym scęp-

tycyzmem lub jakimś bliżej nieokreślonym za-
wężaniem zadań. Typowy socjolog powie dziś,
że socjologia nie może aspirować do rozumienia
wszystkiego, co się w społeczeństwie dzieje, i nie
dostarcza gotowych rozwiązań wszystkich pro-
blemów, ale przynajmniej *pomaga* rozumieć ży-
cie społeczne, unikać niektórych błędów, a cza-
sem, być może, zdolna jest podpowiedzieć jakieś
rozwiązanie. Dostarcza informacji empirycznej
w rozmaitych kwestiach istotnych z punktu wi-
dzenia zarządzania państwem i prowadzenia po-
lityki społecznej. Możemy coś policzyć, spraw-
dzić, czy coś działa, dowiedzieć się, jaka jest
opinia ludzi w jakiejś kwestii, a czy to dużo, czy
mało, oceńcie sami. Zygmunt Bauman posługu-
je się tu metaforą wiru na rzecz: różne treści ży-
cia społecznego przepływają przez wir socjolo-
gicznej refleksji – i płyną sobie dalej.

Nie jestem przekonany, czy takie popi-
sy skromności są świadectwem zadowolającego
poziomu etycznej i intelektualnej samowiedzy
socjologów. Chyba nadal zbyt łatwo przycho-
dzi nam nie brać odpowiedzialności, a to przez
skrywanie się za strzępami pozytywistyczne-
go parawaniku „obiektywności” *vel* „tylko opi-
sowości”, a ostatecznie „refleksyjności”. **Trzeba
tę rzecz przemyśleć na nowo, bardziej teore-
tycznie, być może w kierunku, który zaryso-
wał Pierre Bourdieu jako autor *Zaproszenia do
socjologii refleksyjnej* czy *Zawodu socjologa*, od-
ważnie poszukujący transcendentaliów świa-
domości społecznej i elementarnych praktyk
symbolicznych, wspólnych członkom wszyst-
kich klas i grup, socjologów nie wyłączając.**

Otóż kieruje nami pokusa komunikowania się
z samymi sobą, a więc w gronie samych bada-
czy społecznych, takim językiem i na takim po-
ziomie, na jakim komunikujemy się (chwilowo
będę się z socjologami, retorycznie, utożsamiał)
ze społeczeństwem. Mamy na podorędziu kil-
ka opowieści („narracji”) na użytek, dajmy na to,
telewizji, w których tłumaczymy, kim jest „eks-
pert” i co społeczeństwo może z niego mieć. Ale
zapominamy pójść dalej. Skoro wspomnieli-
śmy Bourdieu – może „socjologia socjologii” by-
łaby należyty m etycznie i intelektualnie posta-
wieniem sprawy krytycznej samowiedzy badacza
społecznego? Cóż, „socjologia socjologii” z natu-
ry rzeczy musi być czymś w rodzaju demaskator-
skiego antymitu środowiskowego. **To już coś, ale**

**zbyt łatwo ulec na tym polu pokusie przyjęcia
fałszywego alibi, którego dostarcza autoironia.**

Na szczęście mamy też nurt „socjologii teore-
tycznej w kryzysie”, gdzie wciąż na nowo rozwa-
ża się kwestię: czym właściwie zajmuje się socjo-
log? Wciąż na nowo i z takim samym efektem
znużenia, jaki po przeciwnej stronie – w socjo-
logii empirycznej – wywołuje przytłaczający nad-
miar danych. Tak czy inaczej jesteśmy sfrustro-
wani. Brakuje nam teorii, która tłumaczyłaby, jak
to jest, że członek społeczeństwa jako racjonal-
ny (w takim czy innym sensie) podmiot praktyk
symbolicznych, jako operator znaczeń społecz-
nych, ich współtwórca i użytkownik, jest ponie-
kąd „małym socjologiem”, a socjolog zawodo-
wy jest jego „powiększeniem”. Ta zadziwiająca,
„symulakryczna” relacja jest, o ile mi wiadomo,
jeszcze nierozpoznana w naukach społecznych,
bo też dopiero niedawno społeczeństwo mieszc-
zańskie zaakceptowało socjologiczny punkt wi-
dzenia jako wzorzec inteligencji i najbardziej
wiarygodny przejaw umysłowej autonomii, doj-
rzałości i wyemancypowania. Socjologia, przy-
najmniej w swym wyrazie medialnym i publicy-
stycznym, zainfekowała społeczeństwo liberalne,
stając się jakby ortodoksją i teologią jego reli-
gii. Owszem, to, w co wierzymy, zawiera jesz-
cze elementy odpadające z teorii psychologicz-
nych, ekonomicznych i politologicznych, ale to
właśnie socjologia nadaje ton; inteligencja pu-
bliczna poddana jest dyktatowi nauk społecz-
nych. Jakże nisko bądź marginalnie trzeba być
dzisiaj usytuowanym w społecznych strukturach,
aby nie posługiwać się chociażby słowem „spo-
łeczeństwo”, jeszcze kilka dekad temu zupeł-
nie elitarnym, podobnie jak słowo „socjologia”.
I ktoś dzisiaj nie wie, co to „sondaż” i „ankie-
ta”, nie mówiąc już o „konfliktach społecznych”
i „grupach interesu”. Współczesne mieszczań-
stwo stało się „społeczeństwem małych socjo-
logów”, w dodatku podlegającym dalszej „so-
cjologizacji”. Jeśli tak dalej pójdzie, staniemy się
hipostazą teorii społecznych, symulakrem, niele-
dwie snem socjologa. Kryzys nauk społecznych
zlewa się z kryzysem świadomości społecznej,
szukającej w prymitywnych formach teoretycz-
nej refleksyjności azylu na wygnaniu z auten-
tycznych tradycji. Granica pomiędzy świadomo-
ścią społeczną a teoretyczną świadomością nauk
społecznych w najbardziej wykształconych spo-

leczeństwach Zachodu niemal całkowicie się już zatarła i doprawdy winniśmy wdzięczność prostym ludziom, że chcąc, nie chcąc, stanowią *residuum* wyobraźni przedteoretycznej. Tylko jak długo są w stanie wytrwać, nim system edukacji i media uczynią z nich, jeśli nie małych socjologów, to przynajmniej bardzo małych. Nie mogą się oprzeć temu procesowi, gdyż utracili już język religijno-etyczny oraz większą część mitologii społecznej wyrażającej się w powtarzalnych, zrytualizowanych narracjach. Zostaje im tylko naśladownictwo mentalności telewizyjnej, które emancypacyjny sztafaż wykonany jest ze szczątków modernistycznych idei społecznych.

W tych smutnych okolicznościach nauki społeczne muszą zrobić rachunek sumienia i zdać sprawę z tego, w jaki sposób i dlaczego tak radykalnie ingerują w społeczne praktyki dyskursywne i w społeczne formy świadomości. Co więcej – muszą wziąć odpowiedzialność za tę osobliwą meta-zmianę społeczną, którą wywołały, w przymierzu z mediami i systemem edukacji, coraz bardziej stającym się „wychowaniem do przemądrzałości”.

Zaczyna się to jakoś niewinnie. Można by powiedzieć tak: socjolog w roli eksperta, komunikującego wyniki badań i podającego ich interpretację pozwalającą zrozumieć coś, co się między nami dzieje, daje społeczeństwu przykład, jak być niezależnie myślącym indywiduum. Z czasem jednak niepostrzeżenie staje się niemal wzorcem człowieka inteligentnego i światłego. Niezliczone wypowiedzi medialne socjologów, stanowiące zasadniczą postać społecznego zakorzenienia środowiska socjologów, uczą społeczeństwo rezonerstwa – bo taki mniej więcej efekt osiąga obywatel próbujący naśladować mentalność i język przedstawiciela nauk społecznych. Socjolog jako rozsądnik socjologicznej inteligencji – oto domniemane powołanie współczesnego socjologa. A efekt? „Socjologiczna półinteligencja” jako najwyższa forma masowego życia umysłowego. Mamy więc w społeczeństwach mieszczańskich naszych czasów coś na kształt słońca kompetencji socjologicznej, które promieniuje kulturą nauk społecznych z ekranów telewizorów i komputerów na niezliczone planety pojedynczych „myślących obywateli”, oświecanych i ogrzewanych socjologiczną inteligencją, którą sobie przyswajają.

Narodziło się społeczeństwo rezonerów komentujących świat bez specjalnych aspiracji do tego, aby walczyć o swe racje w przypadku jakichś różnic poglądów, a tym bardziej bez aspiracji, aby świat zmieniać. Jeśli dawniej inteligencja żywo i z przejęciem dyskutowała, z wiarą w istotność przedmiotu dyskusji, albo choćby obnosiła się z programową dekadencją, to dziś raczej praktykuje rytuały odnajdywania się w atmosferze zgody i zrozumienia pomiędzy osobami podobnymi sobie pod względem poziomu umysłowego i kulturalnego. Gdybyż to jeszcze były te słynne konwersacje salonowe. Tam przecież liczyła się różnica zdań. Dziś opinia nie musi być oryginalna, broń Boże, nie trzeba też jej bronić. Ważne jest wyłącznie to, aby była opinią i to własną opinią, ekspresją i potwierdzeniem, że nie powtarza się sądów utartych, lecz ma się sąd własny. Jeśli jest akurat bardzo pospolity, to nie szkodzi, byle wypowiedzieć go z odpowiednim naciskiem na własną indywidualność. Spierać się zaś nie ma o co, bo nie prawda się dziś liczy, lecz nastroj umysłu – poczucie niezależności i sceptycznego dystansu. Kto nauczył współczesnego klerka i filistra takiej postawy? Czy nie socjologowie, politologowie i wychowani przez nich komentatorzy, którzy do mistrzostwa opanowali sztukę perorowania słabymi tezami, niezobowiązującymi interpretacjami, a także przemawiania, na przykład, „w imieniu socjologii”, z jak najmniejszą ochotą na to, aby bronić jakiegoś stanowiska przeciwko innemu, ogłoszonemu także „w imieniu socjologii”? I czyż owa z lekka sceptyczna aura nauk społecznych nie wywodzi się choć w części z aksjologicznego *epoche*, na które pozwoliła sobie socjologia czasów modernizmu?

Od zawieszenia ocen do zawieszenia twierdzeń wszak tylko jeden krok. Zapewne działa to również w drugą stronę. Z niedbałego wymądrzania się potocznego czerpie swą energię owo niezobowiązujące, pełne eleganckiej skromności, tweedowe wymądrzanie się akademicko legitymizowanych nauk społecznych oraz jego telewizyjna echolalia. Pozornie krytyczny potencjał warstw mieszczańskich wydał socjologię jako swój ostatni, słodki owoc. Owo, obawiam się, już przejrzały.

Anegdota o społecznym zakorzenieniu środowiska socjologów w kręgach klasy średniej Wschodniego Wybrzeża itp. pozostawmy wszak

demaskatorom i plotkarzom. Zejdziemy nieco głębiej, poruszając filozoficzną kwestię relacji między działaniami i wypowiedziami członków społeczeństwa a wypowiedziami socjologów, mającymi ujawniać pewne *rationale* tych działań i wypowiedzi na jakimś innym poziomie.

Mowa uczonego, w tym również socjologa, musi być akuratna, a przez to w pewnym sensie doskonała i ostateczna. Nie powinna nurzać się w semantycznej grze niedookreślonych i częściowo anarchicznych znaczeń. Nie może jej brakować semantycznej przejrzystości i samopanowania. Nic żywiłowego – wszystko pod logiczną i refleksyjną kontrolą. Ideał tyleż ekscentryczny, co anachroniczny. Wszak wymyślono go w XVII w., celem pozbycia się religijnego rządu dusz, rzekomo działającego za pomocą przewrotnych niejednoznaczności i sprytnych sztuczek z naszymi uczuciami i wyobraźnią. „Powiedzieć wszystko” – w dodatku „jasno i wyraźnie”. Po co? Aby nie pozostawić już miejsca dla żadnego demona, który chciałby zakraść się do naszych umysłów i odebrać nam część naszej autonomii. Wypełnić się szczelnie i bez reszty pewnością, oczywistością i jasnością – oto sposób na zachowanie siebie. Sposób doskonały, tyle że w efekcie zabójczy. Oczywistości bowiem i *ja sam* oprzeć się nie mogę, rozplątam się w niej i znikam, nie gorzej niż w fanatycznej, zabobonnej wierze.

Czy możemy więc odrzucić naiwny postulat i naiwną sugestię, że socjologia odkrywa „prawdziwe znaczenia” wypowiedzi naiwnych, pozornie znaczących coś innego, niż znaczą naprawdę, czyli coś innego niż rola, jaką odgrywają w budowaniu i podtrzymywaniu jakiegoś układu społecznego? Sugestia to naiwna, bo stawiająca socjologa w roli egzegety „prawdy o społeczeństwie”, a nawet demaskatora „ukrytych mechanizmów”, ale, niestety, bardzo trudna do oddalenia. Pewnego sposobu poradzenia sobie z uwierającym nas poczuciem arogancji i naiwności dostarcza nurt etnometodologii, razem z pokrewną mu socjologią wiedzy, a w naszych czasach dyskusje wokół kontrowersji obiektywizm – subiektywizm w teorii społecznej. Zakłada się tu, że istnieje jakaś ciągłość między praktykami komunikacyjnymi (w tym również wiedzotwórczymi), którym oddaje się na co dzień społeczeństwo, a analogicznymi praktykami samych socjologów.

Dyskurs socjologii jest więc przetworzeniem i przekształceniem dyskursów, jakie towarzyszą praktykom społecznym, w tym również takich, które służą członkom społeczeństwa do wyrażania własnej świadomości społecznej. Na czym to przetworzenie polega? Na systematyczności, na utrzymywaniu wyższej dyscypliny logicznej, na ciągłej samokontroli, na użyciu pewnych danych i wiedzy specjalistycznej, a także na pewnej pracy i wkładzie etycznym – na uwalnianiu się od uprzedzeń i dogmatów, na pełniejszej emancypacji umysłowej i kulturalnej. W tej wizji socjolog jest awangardą społeczeństwa, kimś *par excellence* oświeconym, ale nie przeciwstawnym społeczeństwu jako mentor lub krytyk, lecz zaprzyjaźnionym ze społeczeństwem – jako najsprawniejszy wyraziciel jego samowiedzy i aspiracji. Czyż Jürgen Habermas nie pełni funkcji mędrca, który daje społeczeństwu głos samowiedzy i podnosi jego godność do rangi atrybutu organizacji intelektualnie i etycznie samoświadomej i wyemancypowanej? Oświecenie ostatecznie spełnione, chciałoby się rzec. Niestety, system nie działa, gdyż zamiast zmieniać społeczeństwo w przestrzeń niekończącej się konstruktywnej dyskusji, organizuje je wokół iluzji bezkolizyjnych partykularyzmów, zarządzanych przez quasi-teologię etycznie i racjonalnie nieodpartych zasad pokojowego współistnienia i pokojowej debaty. Efekt jest mierny, gdyż debaty zaczynają się i kończą na „metarytuałach”, czyli składaniu wzajemnie deklaracji wierności zasadom tolerancji, pluralizmu i poszanowania równych praw; konflikty społeczne rozstrzyga się zaś, po dawnemu, w konfrontacji sił i negocjacjach interesów.

Postkantowska utopia, której oddaje się znaczna część środowisk nauk społecznych, całkiem już się znużyła i zbankrutowała. Wraz z nią upadł jednak cały ów model, przekształcający socjologa-mentora czy inżyniera społecznego w socjologa-moderatora, spolegliwego akuszera racjonalnych zmian na lepsze. Habermas nie jest przewodnikiem mas ani prorokiem, ale nie jest też „profesorem mas”, jak chcieliśmy go postrzegać jeszcze ćwierć wieku temu. A to dlatego, że masy po prostu nie korzystają z usług profesorów, a profesorowie świadczą swoje usługi nie masom, lecz elitom, masy zaś korumpują i pozbawiają naturalnego języka. Głos ludu

i głos elit nie mogą się pojednać. Już tylekroć się o tym przekonaliśmy, że jeszcze ten jeden raz – mianowicie w przypadku Habermasa – nie zaszkodzi ani nie pomoże. Masy i elity mówią dziś niemalże tym samym językiem; bynajmniej nie usuwa to napięcia, jakie z natury rzeczy panuje pomiędzy tymi, którzy się wyemancypowali, a tymi, spośród których się wyemancypowali. Albo to rozumiemy, albo nie. Socjolog nie jest antytezą masy w dialektycznym procesie zdobywania przez nią samoświadomości, nie jest jej „towarzyszem podróży”, pilotem wycieczki przez dzieje, wieszczem ni bardem, ani też profesorem społeczeństwa. Czy jest szkodnikiem?

Być może socjolog to analityk zbiorowej nieświadomości, to znaczy ktoś, kto opowiada równoległe historie, na motywach znanych i zrozumiałych dla odbiorców krańcowych socjologicznej narracji, czyli dla w miarę inteligentnych członków społeczeństwa. Robi to, co psycholog mówiący nam „jacy jesteście”, utrwalający naszą miłość własną, a jednocześnie pomagający uwolnić się od demonów lęku, frustracji i innych nieprzyjemności egzystencjalnych. Również dyskurs socjologa musi być budujący, łagodzący, balsamiczny. Także socjolog „przemawia” do społeczeństwa z terapeutyczną wyrozumiałością. Wprawdzie istnieje socjologia ezoteryczna, coś, co jest przeznaczone tylko dla uszu innych socjologów, ale przecież dokłada się starań, aby wzmocnić więź socjologów ze społeczeństwem, zwiększyć transparencję i przystępność arkanów socjologii dla laików, a zwłaszcza dla studentów, którzy jako reprezentanci laików przychodzą na studia socjologiczne. Wszystko to jednak skończyło się źle. Socjologiczne czułe pasterzowanie przyczyniło się do wyjałowienia umysłowego szerokich rzesz klasy średniej, młupujących socjologiczną nowomowę, a w efekcie produkujących kapłańską kastę socjologów w głębi duszy tak samo dotkniętą wadą skromnej i niekonkluzywnej refleksyjności co przeciętny wyznawca i konsument socjologicznej publicystyki. Terapeutyczna moc socjologii okazała się pozorem, w przeciwieństwie do całkiem realnego społecznego prestiżu lekarzy społecznej duszy. Miałość, ta choroba filistrów, stała się przeznaczeniem nauk społecznych.

Nauki społeczne, jak widzimy, znalazły się w modernistycznym klinczu. Uwięzły w splotach

ambicji i idiosynkrazji o społecznym i intelektualnym podłożu, które dziś jest już anachronizmem wywodząc się z procesów kulturowych XVIII i XIX w. **Nieuchronnie czeka nas zasadnicza przebudowa – na poziomie etosu, metodologii i społecznego umocowania nauk społecznych.** Doszliśmy do ściany. By raz jeszcze streścić naszą diagnozę: doczekaliśmy się społeczeństwa wyemancypowanego, złożonego z socjologicznych homunkulusów – małych socjologów. Nawet bowiem prosty i naiwny uczestnik społecznych praktyk musi być przez nas postrzegany jako socjolog *in spe* – jest wszak kimś, komu należy się edukacja i emancypacja. Gdy zaś te staną się jego udziałem, zamieni się niechybnie w inteligenta, czyli epigona socjologów. Socjologia widzi w swoim przedmiocie samą siebie, przegląda się w zwierciadle społeczeństwa mieszczańskiego, które coraz bardziej łączy się z polem nauk społecznych w jedno pole, zdefiniowane przez habitus uteoretycznionej świadomości społecznej. Wypiera ona świadomość religijną i tradycyjną społeczną mitologię w zdumiewającym tempie. Wydaje się, jakby jedyną przeszkodą dla transformacji współczesnych społeczeństw w „społeczeństwa socjologów” było naturalne lenistwo i brak wykształcenia większości zdrowych ludzi. Ale i oni coś tam mówią – a gdy już mówią, to brzmi to właśnie jak karykatura wyemancypowanej, acz miernej, letniej i poprawnej mowy inteligenta.

Przebudowa, której potrzebujemy, aby wydobyć się z klinczu i marazmu, nie jest możliwa bez zerwania. Centralne kategorie nauk społecznych, powtarzające się w rozmaitych teoriach i budujące tożsamość tego zespołu dyscyplin myślowych, muszą zostać zakwestionowane, jeśli nauki społeczne mają wejść w fazę „postyczną”, jeśli mamy doczekać się czegoś naprawdę ożywczego, już po tamtej stronie – *po* socjologii. Dopóki będziemy obracać się w kręgu wciąż tych samych pojęć, skazani jesteśmy na niewolnicze budowanie niezdrowego „społeczeństwa zsocjologizowanego”, dalsze tkwienie w anachronizmie, jałowości i moralnej dwuznaczności.

Oto kilka przykładów przekonań fundamentalnych, które można uznać za podstawowe dla całej dyscypliny nauk społecznych, jakkolwiek z pewnością znajdują się socjologowie negujący niektóre z nich. Negacja wszystkich oznaczała-

by jednak emigrację z socjologii. W krótkich komentarzach chciałbym pokazać trudności, na jakie napotykają owe założycielskie i fundamentalne idee socjologii. Jeśli ma ona wejść na nową drogę „socjologii po socjologii”, być może powinna te właśnie trudności na początek dobrze sobie przemyśleć.

1. Ludzie działają, nie wiedząc do końca, co te działania znaczą. Socjologia to wyjaśnia.

Porządek działań i znaczeń nie przystają do siebie. Działania właśnie dlatego, że są działaniami, nie mają znaczeń. Działania należą do porządku bezpośredniości – prostego wydarzenia się, podczas gdy znaczenia należą do porządku refleksyjnego, czyli świadomościowego, odwracającego przemożną bezpośredniość i jednokierunkowość nic dla siebie nieznających zdarzeń. Życie symboliczne jest osnute *wokół* pozbawionych znaczenia działań. W żadnej ze swoich części życie symboliczne nie może służyć „wyjaśnieniem zdarzeń”, a w tym działań, gdyby należało przez to rozumieć coś więcej niż nadawanie im sensu, przywracanie ich świadomości, za pośrednictwem „oplatających” je aktów rozumienia. Metafora wydobywania własnego sensu zdarzeń czy działań w aktach ich rozumienia nie jest w żaden sposób uprzywilejowana w stosunku do zastosowanej tu metafory „oplatania”, czyli nadawania sensu doświadczanej bezpośredniości. Dlatego należy powiedzieć, że *równie dobrze* przedstawić sobie można socjologię jako *wyjaśnianie znaczeń ludzkich działań*, jak *opowiadanie sobie o nich*. Opowieść socjologa jest być może uprzywilejowana, ale jedynie z racji tego, że swoją uprzywilejowaną pozycję sama proklamuje. Podobnie czyni narracja religijna i wiele innych. Jeśli socjologia jest wiedzą, to nie dlatego, że jest wyjaśnianiem.

2. Istnieje struktura społeczna, charakteryzowana przez współzależne elementy i zachodzące między nimi dynamiczne relacje, tworzące system znaczeń i grę sił (różnic). Socjologia stara się dać obraz tej rzeczywistości i rozeznaczyć się w jej egzotycznej materii.

Jeśli potraktować na serio metaforykę „sił” i owe tajemnicze, niewidzialne „elementy”, które są tych sił nosicielami, skupieniami bądź przedmiotami ich oddziaływania, to lepiej od razu wdać się w „metafizykę bytu społecznego”, by tym prędzej się przekonać, że takowa musi być

jałowa. To samo dotyczy metaforyki obrazowania, której dekonstrukcja jest kamieniem węgielnym nowoczesnej epistemologii. Zgodnie z wyobraźniowym podłożem takich zwrotów jak „gra sił” czy „struktura” czynność nauk społecznych należałoby rozumieć jako formę uczestniczenia w nich – są to bowiem metafory odnoszące się do dynamizmu. **Tymczasem pojęcie poznania (a socjologia miałaby być poznaniem) zawiera w sobie element bierny, odwołując się do „stanu posiadania wiedzy”.** Powstaje tu dysonans, który zresztą wykorzystuje każda koncepcja strukturalistyczna, pouczając swoich adeptów, że „struktura”, choć samo słowo może nasuwać skojarzenie ze „statycznym układem”, jest w istocie czymś wprost wobec tego przeciwnym. Opowieść o „strukturach” siłą rzeczy zdana jest na kreację wyobrażonych dynamicznych abstraktów, a jej domniemany ładunek poznawczy na tym właśnie polega, że wymyśla się elementy „struktury”, wytwarzając sugestię, iż zostały one „odkryte”.

3. Społeczeństwo jest inteligentną organizacją, którą w jakimś stopniu sterują pewne niecałkiem dostępne świadomości jednostki zasady (prawa), a w jakimś stopniu decyzje jednostek oraz przypadek. Socjolog pragnie zrozumieć tę organizację, te zasady, a także wyrobić sobie pogląd na proporcje między tym, co zdeterminowane, a tym, co nieprzewidywalne, twórcze i spontaniczne.

Schemat zasady–decyzje–przypadek jest zbudowany wedle heurystycznej inklinacji polegającej na chęci zaspokojenia wszystkich w danym przypadku narzucających się, choć skonfliktowanych ze sobą, intuicji: Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Nie można traktować na serio wyobrażenia, że „świat społeczny” jest areną oddziaływania trzech sił: zasad (praw), decyzji i przypadku. Czy byłaby to jakaś zasada? Czy może czyjaś decyzja (Boga? Socjologa?)? Czy wreszcie – czysty przypadek? Skoro relacja między tymi *modi* racjonalności, wyrażającymi się w stwierdzeniach „to tłumaczy się zasadą”, „to wynik wolnej decyzji”, „tamto jest przypadkiem”, nie jest relacją biernego współistnienia, to może stanowi „relację dialektyczną”? Owszem, lecz relacja ta mówi nam wyłącznie coś o sposobie tworzenia schematów pojęciowych, a nie o ludziach. Jeśli socjologia stawia pytania w rodzaju „co lu-

dzie robią?” i „dlaczego to robią?”, to siłą rzeczy zmuszona jest odwoływać się do praktyk językowych towarzyszących ludzkim działaniom w charakterze ich eksplikacji. Ważną rolę w tych praktykach odgrywają słowa „muszę”, „chcę”, „mam zamiar”, „każą mi” itp. Przejście od tego rodzaju narracji motywacyjnych, z jakimi spotykamy się w życiu społecznym, do związków motywacyjnych, charakterystycznych dla wypowiedzi naukowej wyjaśniającej zjawiska, a więc „x zachowuje się w sposób y z racji z”, jest z zasady niemożliwe, jeśli po drodze miałyby nastąpić zerwanie ze społecznymi rutynami społecznej samoeksplikacji działania. Jeśli zaś takiego zerwania nie ma, wtedy mowa socjologii jest taką samą „gadanią” jak owe potoczne wypowiedzi, które musi brać po uwagę. Jeżeli natomiast następuje zerwanie nadające dyskursowi socjologii wagę dyskursu uprzywilejowanego, to potoczne wypowiedzi zostają zasadniczo pozbawione sensu, zachowując tylko jego pozór. Dezintegracja sensu komunikacji społecznej w świadomości socjologa wyraża się właśnie w bezradnym metodologicznym kolażu idei „zasady” (prawa społecznego), „decyzji racjonalnej” i „przypadku”. Znowu socjologia okazuje się *de facto* praktykowaniem samowiedzy.

4. Życie społeczne jest sensowne i wartościowe – przejawia się w nim dobro i zło. Socjolog pomaga zrozumieć dobro i zło społecznego losu.

Każda ambitna socjologia jest dyskursem „odpowiedzialnym”, a więc świadomym swych społecznych konsekwencji i przepojonym troską o społeczne dobro. Tym samym jednak wchodzi na teren, który można by nazwać etyką społeczną. Ładunek etyczny dyskursu nauk spo-

łecznych może być albo krytyczny (jako „krytyka społeczna” lub „teoria krytyczna”), albo afirmatywny w stosunku do pewnych grup i zjawisk. Jeśli balans krytyki i afirmacji pewnego kierunku myśli socjologicznej pokrywa się z panującym konsensem politycznym elit, tak jak w przypadku współczesnej socjaldemokracji, to nauki społeczne przyjmują na siebie rolę propagandową, jeśli zaś ich zaangażowanie etyczne miałyby wchodzić w konflikt z panującymi poglądami, nauki te stałyby się czynnikiem rewolucji moralnej. Ani rola propagandowa, ani rewolucyjna nie są właściwym zadaniem nauki. Niemniej jednak, całkowite abstrahowanie od zaangażowania aksjologicznego byłoby sztuczne i nie mniej arbitralne pod względem moralnym niż inne kontrowersyjne wybory. Nauki społeczne nie są zdolne rozwiązać tej aporii, bezradnie oddając się odruchom popychającym je raz w stronę etycznego zaangażowania, to znowu ku sceptycznej obiektywnej deskryptywności. Weberowska zasada, że sprawą etyczną może być wybór tematyki badawczej, same badania zaś muszą być wolne od elementów ocennych, najlepiej tę bezradność odzwierciedla.

Nie wiem, jaka przyszłość czeka nauki społeczne „po socjologii”. Z pewnością jednak obecny stan rzeczy nie może trwać długo. Ich samowiedza jest w pełni dojrzała, dzięki czemu nie mogą już żyć złudzeniami. Tymi złudzeniami żyje natomiast społeczeństwo, któremu nauki społeczne skutecznie wpoili parasocjologiczny model inteligencji. To, co stanie się w przyszłości z naukami społecznymi, poniekąd stanie się również z samym społeczeństwem. Sprawa jest przeto wagi najwyższej.

What will replace sociology?

The article offers an analysis of the theoretical and social condition of social sciences and their prospects. Long ago, social sciences managed to ritualize the 'crisis discourse' that has perpetuated itself since. Deriving benefits from repeatedly diagnosing its own crisis is an ethically dubious pursuit. The same observation applies to the incessant revisiting of the dialectics of involvement and non-involvement, in other words, description versus evaluation. The inevitability of axiological commitment of sociology often becomes an alibi for being satisfied with appearances only. Sociology is not innocent. It impacts social consciousness by supplying the middle class and elites with tools that help them strive for self-awareness, which results in the emergence of a 'society of self-taught sociologists'. Sociology has changed society, imposed its own idiom on it, but it refuses to accept responsibility for the consequences of this fact. It is sceptical and infects society with its scepticism. If the sociological discourse was meant to be therapeutic, it has failed. The author of the article claims that sociology must enter its 'post' phase, that is, transform into something that will no longer be construed as sociology. In so doing, the author critically analyzes several assumptions (usually) adopted by social sciences, since the future of social sciences and the future of society are very closely intertwined.

Keywords: sociology, crisis of social sciences, social consciousness.